Nr. 23 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 grudnia 1932 | Rok 54

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie.) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochronne

obowiązujące na terenie Rzeczypospolitej z wyjątkiem województwa śląskiego

(Czas ochronny oznaczony jest ciemnemi polami)

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Łosie - byki [1])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Jelenie - byki, daniele - rogacze [2])	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15		■	■
Sarny - kozły [2])	■	■	■	■	▌15						■	■
Zające - szaraki [2])	15▌	■	■	■	■	■	■	■	■	▌20		
Zające - bielaki		15▌	■	■	■	■	■	■	■	■		
Niedźwiedzie [3])	15▌	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15
Rysie [4])	15▌	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15
Borsuki [5])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■		■
Wiewiórki [6])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Cietrzewie - kury w wojew.: Wil, Białost., Nowogr., Polesk., Woł.		■	■	■	■	■	■	▌15	15▌	■	■	■
Jarząbki, pardwy		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty [7])		■	■	■	■	■	■	■	■	■		
Kuropatwy w woj.. Wil., Białostoc., Nowogr., Polesk., Woł., Krak., Lwowsk., Stanisławowsk., Tarnopol. [7])	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Kuropatwy w województwach pozostałych [7])	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki . . . . od przylotu			■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory [8])						■	▌15					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌15					
Dropie, dropie - kamionki (strepety), [9])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dzikie indyki - samce [10])					15▌	■	■	■	■	▌15		
Dzikie indyki - samice	■	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15		
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				

Zabrania się wogóle polować na: żubry, bobry, kozice, świstaki, na samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, na niedźwiedzice od niedźwiedziątek, na głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w Województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem na cietrzewie-kury. Minister Rolnictwa uprawniony jest zezwolić na polowanie na te zwierzęta z wyjątkiem żubra i bobra.

[1]) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 94, poz. 730.
[2]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[3]) Min. Roln. z dnia 11. V. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 51, poz. 423.
[4]) Min. Roln. z dnia 23. VI. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 60 poz. 487.
[5]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[6]) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr 94, poz. 730.
[7]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[8]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[9]) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 94, poz. 730
[10]) Min. Roln. z dnia 26. VI. 1929 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 50, poz. 416.

Wszystkie terminy ochronne należy rozumieć włącznie

290

KOMUNIKAT

Przypominamy naszym Członkom

o ubezpieczeniu się od odpowiedzialności cywilnej

jako myśliwym, w Towarzystwie „Patria" (Lwów, ul. Słowackiego l. 18) za pośrednictwem Redakcji Łowca. Vide nasz artykuł w „Łowcu" z 16 listopada b.r.

TREŚĆ NUMERU 23:

Hieronim Tarnowski: Uwagi z rykowiska nizinnego. — *A. Groetschel:* Nocna przygoda z niefortunnym zalotnikiem. — *Rudyard Kipling:* Poranny hejnał wilków — *Antoni Pisuliński:* Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych (c. d.). — Gen. *Walery Maryański:* Gwarzenie jakich wiele. — *Jarosław Hubalek:* „Szarek" (c. d.). — *Mieczysław Kruszewski:* Lisia impreza w Moszkowie. — Korespondencje. — Nekrologi. — Conseil International de la Chasse. — Sprawy Towarzystwa. — Sprawozdanie Tow. Myśl. „Czernichów" za rok 1931. — Ochrona i hodowla żubra.

Nr. 23 We Lwowie, 1 grudnia 1932 Rok 54



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

HIERONIM TARNOWSKI

Uwagi z rykowiska nizinnego

Nie mam szczęścia mieć rykowisko w Karpatach — ale z sąsiedniego Niska, Bojanowa, Kamienia ściągały się jelenie i do Rudnika. Z początku przechodnio tylko, potem na stałe — aż w zeszłym roku po raz pierwszy zaczęły — bardzo słabo — ryczeć. To też z drżeniem serca oczekiwałem ostatniego tygodnia minionego września, rychło odezwie się i w moim lesie pieśń miłości i walki — tem bardziej, że leśni donosili mi o dwóch grubych bykach, kilkakrotnie widzianych, czternastaku i dwunastaku.

Moje nadzieje nie ziściły się jednak. Jelenie ryczały bardzo słabo, w bardzo długich, godzinnych i dłuższych odstępach czasu, a z nastaniem dnia milkły. Nie było więc mowy o rykowisku w istotnem tego słowa znaczeniu, ani o podchodzeniu ryczącego jelenia. Jedynem, co mi pozostało, było, orjentując się według ostatnio słyszanego ryku, starać się podchodzić bez ryku. Wiadomo zaś, co to znaczy, zwłaszcza gdy się jest, jak ja, nieprzyjacielem lunety. To też zamiast wymarzonych trofeów, wyniosłem z pierwszego — jeżeli je tak można nazwać — rykowiska w Rudniku, figę z makiem.

Zastanawiałem się, jaka może być przyczyna, że jelenie ryczą tak słabo — tem bardziej, że identyczne wiadomości miałem z Bojanowa i z Niska, gdzie poprzednio bywały rykowiska doskonałe. Nie można tego przypisać zbyt ciepłej na ogół temperaturze, bo w ostatnich dniach września kilka ranków było ślicznych, a mroźnych, tak, że łąki leśne były białe od szronu — a zatem aura wymarzona na rykowisko. A ryk mimo tego nie poprawił się.

Zdaje mi się, że powodem słabego rykowiska jest zbyt liczny stan łań. Przykład: O niecałe 2 km od miejsca, gdzie porykiwał całkiem dobry dwunastak, sprawiedliwy stadny jeleń, (niestety nie udało mi się go dostać), próbował ryczeć słaby, zupełnie niełowny ósmaczek, który miał przy sobie 5 łań. W innym kierunku, o jakieś 1½ km od ostoi owego dwunastaka odzywał się młodocianym tenorem słabiutki szóstak, przy którym były trzy łanie. Oba te niełowne jelonki, byłyby przy normalnym stanie łań boczniakami przy owym dwunastaku — który wtedy, niepokojony przez nie o swój stan posiadania, byłby ryczał, jak się patrzy. Ale gdy stan łań jest tak liczny, że każdy smarkacz może odgrywać rolę stadnego jelenia, a prawdziwy stadny byk, będąc zupełnie spokojnym o swój harem, nie potrzebuje rykiem wyzywać i odstraszać rywala — wtedy rzecz jasna i prosta, że o rykowisku w istotnem tego słowa znaczeniu mowy być nie może.

Z tego wynika logiczna konkluzja, że by móc zachować nadal na naszym niżu tę rozkosz myśliwską, jaką jest rykowisko, musi się absolutnie — i to bardzo znacznie — zmniejszyć stan łań.

Ale zmniejszenie stanu łań leży nie tylko w interesie samejże rozkoszy łowieckiej — ono jest także postulatem racjonalnej hodowli. Wiadomo, że gdy zbyt młode lub zbyt stare, zmarniałe byki stają się reproduktorami, to potomstwo ich jest słabe, co musi spowodować degenerację zwierzostanu jeleniego. Taki zaś stan rzeczy istnieje właśnie wtedy, gdy stan łań jest zbyt liczny, tak, że zamiast naturalnej selekcji, polegającej na tem, że najsilniejszy byk (a zatem najlepszy reproduktor) nie dopuści słabszego do łań — każdy stary niedołęga lub mizerny niedorostek może mieć swoje stado.

Co zaś jest wprost zastraszającem, to procent starych łań jałowych — skutek nieodstrzeliwania łań.

Wspomnianego niełownego ósmaka i jego stado zszedłem zupełnie przypadkowo popołudniu na niecałe 200 kroków i miałem dokładnie przez dłuższy czas możność obserwowania ich. Z 5 łań ze stada, 2 tylko miały przy sobie cielaki, 3 były to stare, jałowe sztuki. Czyli 60% jałowych, 40% płodnych! Nie trzeba chyba tłumaczyć, że taki stan rzeczy nie jest korzystny dla hodowli.

Zezwolenia na odstrzał mogłyby bardzo pomóc w tym kierunku, gdyby były udzielane, po pierwsze bardziej liberalnie, powtóre w innym okresie czasu. Co do pierwszego, Starostwa bardzo często dają zezwolenie na odstrzał połowy tej ilości łań, o jaką dany myśliwy prosił — mimo „placet“ danego przez powiatowego Delegata M. T. Ł. — Znajduję, że Starostwa powinny mieć tyle zaufania do M. T. Ł. i do jego Delegatów, by do opinji tych ostatnich się stosować.

Co do drugiego, to wszystkie zezwolenia odstrzału łań, jakie do tej pory widziałem, opiewały na czas łowny na jelenie-byki, to jest na wrzesień i październik. — Primo: jakiegoż bohaterskiego zaparcia się siebie trzeba na to, by łanie odstrzeliwać we wrześniu, przed rykowiskiem i tem samem przez niepokojenie jeleni psuć sobie rykowisko! Nie mówiąc już o niemożliwości niemal podejścia stada w tym okresie czasu. — Secundo: w jesieni (prócz całkiem wyjątkowego wypadku, takiego, jak mój, opisany z tym ósmakiem) bardzo trudno jest poznać, która łania jest jałowa, a która nie. Dlatego zezwolenia na odstrzał łań powinny być dawane na luty, marzec i kwiecień, kiedy bardzo łatwo jest poznać łanię cielną od niecielnej. To samo dotyczy zezwoleń na odstrzał kóz.

Ale najważniejsze zadanie ma tu M. T. Ł. do spełnienia, wpajając w swoich członków przekonanie, że obowiązkiem ich jest regulować stan łań i kóz. Powagi w literaturze łowiecko-hodowlanej niemieckiej, godzą się na to, że łań powinno być conajwyżej 5—6 na łownego byka, a kóz 3 na łownego rogacza — większa ilość łań i kóz, musi doprowadzić do degeneracji. Co się tyczy kóz, to myśliwi niemieccy, austrjaccy i czescy chętnie kupują nasze kozy dla odświeżenia krwi i płacą za nie dobre ceny, a łapanie ich nie jest trudne i nie wymaga znaczniejszych kosztów, tak, że ten sposób regulowania ilości kóz, jest nawet połączony z dochodem. Kto zaś dba nie o rekord ilości, tylko o jedynie słuszny rekord jakości swojego zwierzostanu, ten musi dbać o normalny, ilościowy stosunek płci męskiej i żeńskiej tego zwierzostanu.



A. GROETSCHEL

Nocna przygoda z niefortunnym zalotnikiem

Było to około połowy grudnia. — Mrok wilgotnego wieczoru począł gęstnieć na linjach i drogach leśnych — podczas gdy wewnątrz drzewostanów — zwłaszcza zaś pod gęstem okryciem jodłowego i świerkowego igliwia panowały już znaczne ciemności.

Mimo tak opóźnionego wieczoru zająłem miejsce na skrzyżowaniu się linij — albowiem za pół godziny do trzech kwadransów, miał się ukazać nad lasem księżyc bliski pełni.

Przesmykiem, na którym zasiadałem, przemykały wieczorem i nocą dziki, lisy — a czasem można było tam zobaczyć nawet żbika.

W dniu tym nie miałem żadnego towarzysza — a konie czekały na mnie o jakie dwa kilometry na drodze.

Zaledwie obrałem stanowisko i rozglądnąłem się dokoła — zapadła koło mnie niemal zupełna ciemność — tembardziej, że pierwszy śnieg, który parę dni poleżał, znikł niemal zupełnie przy ostatniej odwilży — pozostawiając po lesie tu i ówdzie brudne płachty — nie większe jednak ponad 30 m².

Przez czas dłuższy uszu moich nie dochodziły żadne odgłosy. — Noc była na ogół cicha — tylko po wierzchołkach drzew snuł się lekki wietrzyk — szemrząc tam w górze nieznacznie. — Tymczasem przeszło już dawno pół godziny — ciemności jednak nie przerzedzały się wcale — co mnie niepokoiło — albowiem lada moment spodziewałem się pojawienia się zwierzyny.

Jakoż w istocie na zboczu od północy dał się słyszeć chrzest łamanych gałązek i ciężki chód grubszego zwierza. Nie ulegało kwestji, że ku mnie idą dziki. — Nie ucieszyłem się tem zbytnio — zwłaszcza, że moje obliczenia co do pojawienia się księżyca — coś mocno szwankowały. — Dziki tymczasem zbliżyły się do mnie

na kilkadziesiąt kroków — nie szły jednak wprost na mnie — lecz jużto kołowały — jużto wracały na zbocze, to znów podchodziły ku memu stanowisku — przytem raz szły powoli, to znów podbiegały — wreszcie na moment stawały. Przytem wszystkiem fuczały, sapały i często uderzały o siebie. — Nie trudno było dojść do wniosku, że to zaloty dzicze.

Dalsze wsłuchiwanie się w te zabawy dzicze wskazywało mi, że mam przed sobą silną lochę i trzech poważnych zalotników.

Kilkakrotnie zbliżało się to towarzystwo weselne do mnie na jakich 60 kroków — łomot gałęzi i sapanie wzmagały się, tak, że odciągnąłem na wszelki wypadek kurki mej flinty — w obawie, bym jako przypadkowy obserwator tych godów dziczych — nie oberwał jakiego guza.

Nagle walka wzmogła się znacznie — miałem wrażenie, że dwie silne sztuki atakują trzecią — zresztą w ciemności nie łatwo tu można było zorjentować się, wśród łomotu gałęzi słychać było wciąż sapanie, kłapanie szczęk i uderzanie na siebie. — Nagle jedna sztuka, widocznie ta atakowana przez dwóch współzalotników, oderwała się od reszty i szła silnie podniecona — stąpając ostro i mocno wciąż sapiąc na drogę, na której stałem — locha zaś z dwoma zalotnikami, żwawo podążała zboczem w górę.

Nie ulegało żadnej kwestji, że jeden z zalotników po niepomyślnej walce zrezygnowawszy z dalszych zamierzeń — uchodził w przeciwnym kierunku — tłumiąc w sobie bezsilny gniew i wewnętrzne wzburzenie — co przejawiało się w jego ostrym, gwałtownym chodzie.

Nie biorąc pod uwagę ciemności nocy — zdecydowałem się nagle przeciąć drogę niefortunnemu zapaśnikowi — lecz, że ziemia ścięta była mocnym przymrozkiem, nie mogłem przyśpieszać, lecz zmuszony byłem iść bardzo ostrożnie i powoli. — Byłem przekonany, że jeśli dzik wyjdzie na drogę, na której stałem — prędzej, niż ja tam zdążę — zawietrzy zaraz me ślady i zniknie w ciemnościach lasu, — tymczasem mimo, iż ja z przybyciem znacznie się spóźniłem — a dzik był już na moich niedawnych śladach i mnie zwietrzył — począł bowiem głośno nozdrzami ciągnąć powietrze — nie tylko nie uciekał, lecz przystanąwszy na chwilę, celem zorjentowania się w sytuacji, zahuczał groźnie i ruszył ku mnie po moich śladach. — Na moje szczęście byłem jeszcze od dzika o jakie 60 kroków oddalony. — Wobec zupełnej ciemności, role nasze zmieniły się natychmiast, zamiast iść do dzika, począłem przed nim wstecz uchodzić, przyczem starałem się uskuteczniać to możliwie bez szelestu, by nie zdradzić swej pozycji.

Wskutek tego, rzecz prosta, posuwałem się stosunkowo powoli — dzik zaś podążał ostrym krokiem za mną.

Gdym zajście to opowiadał nieraz później w miłem towarzystwie przy lampce wina — sprawa nie robiła nigdy zbyt tragicznego wrażenia — inaczej jednak rzecz ta miała się wśród gąszczów leśnych — gdy się było zupełnie samotnym, a gęste mroki uniemożliwiały wszelką obronę.

Chętnie wówczas byłbym się wycofał z tej imprezy — lecz było już zapóźno.

Rzecz ciekawa, że dzik nie ruszał ku mnie kłusa; (w pełnym biegu dzik atakuje tylko wtedy — gdy widzi dobrze przeciwnika) — lecz szedł na mnie dużym i ostrym krokiem.

Widząc po prawej stronie za sobą dość dużą smugę niestopionego śniegu — starałem się za wszelką cenę — ulokować się poza śniegiem, by dostrzec w ciemności na tle śniegu bodaj, sylwetkę dzika i posłać mu z gładkiej lufy kulę „Brennecke". — Z trudem udało mi się względnie cicho dosunąć się do upragnionej pozycji — strzelbę przyłożyłem do twarzy, oczekując niecierpliwie pojawienia się napastnika, bądź na śniegu, bądź tuż przed smugą tegoż. — Wśród zupełnej ciszy leśnej słychać było wyraźne stąpanie mego prześladowcy, jak zbliżał się do jasnej plamy śniegu. — W odległości około 20 kroków tuż przed śniegiem, jednak jeszcze zupełnie na czarnem tle, przystanął nagle. — Dalej cofać się nie miałem zamiaru i tu postanowiłem rozwikłać do końca tę nocną awanturę.

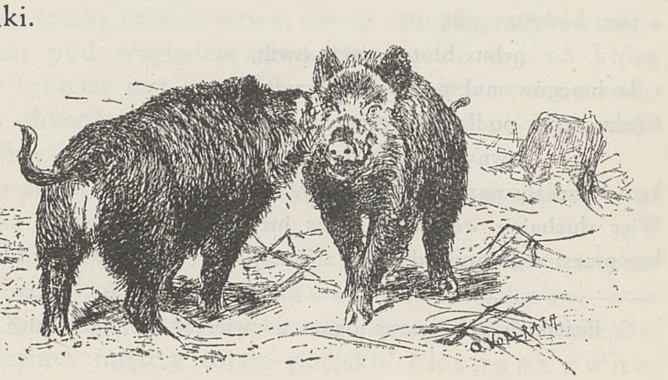
Mierząc ciągle w kierunku dzika — którego jednak zupełnie nie widziałem, z gwałtownem biciem serca oczekiwałem dalszego przebiegu wypadków. — Przeciwnik mój stał jednak bez ruchu w miejscu kilka minut, starając się widocznie zbadać moją pozycję.

Chcąc zgłuszyć nieregularny oddech mej piersi, otwarłem nieco usta — serce waliło mi jak młotem — a naprężenie nerwów było bardzo silne.

Kilka minut wyczerpującego obustronnego wyczekiwania — ani od strony dzika — ani mojej — nie było słychać najmniejszego szmeru — zdawałoby się, że ta cała przygoda — to tylko senna mara. — Nagle dzik, widocznie nie mogąc ustalić mego stanowiska, a niechcąc pokazać się na białem tle śniegu — ruszył w bok, z dala obchodząc smugę śniegu ku północy — wówczas ostrożnie przesunąłem się o kilka kroków ku południowi — jednak niepotrzebnie — dzik bowiem zrezygnował z walki ze mną i żwawo ruszył zboczem w kierunku poprzednich dzików.

Zaledwie zamilkł szelest kroków dziczych — gdy mrok nocy począł się szybko przerzedzać — to jasna tarcza księżyca wysuwała się zwolna w górę — a srebrne jego promienie, przeciskały się coraz natarczywiej między pnie i korony drzew.

Napróżno wytężałem słuch i podsuwałem się wąską ścieżyną na zbocze — wraz z pojawieniem się potoków światła księżycowego — znikły na tę noc bezpowrotnie i dziki.



RUDYARD KIPLING

Podajemy dalszy fragment z przygotowanej do druku „Drugiej Księgi Dżungli" w przekładzie Józefa Birkenmajera.

W. Z.

Poranny hejnał wilków

Jeszcze — ot — przed godziną,
gdyśmy szli tą równiną,
nie majaczył za nami cień mgławy;
teraz cieniów gromada
w trop za nami się skrada,
a my do dom wracamy z wyprawy!
W cichym rannym półmroku
już widoczne są oku
kępy krzewów, zrąb skał, drzew korony —
więc podnieśmy wołanie: Czas już spocząć każdemu,
kto przestrzega praw dżungli zielonej!

Teraz nocni włóczędzy
w gąszcz się kryją czemprędzej,
nie chcąc skóry narażać i rogów;
teraz chyłkiem i milczkiem
lampart z dzikiem i wilczkiem
powracają do jam i barłogów.
Już po roli, po łęgu,
kroczą woły w zaprzęgu:
do roboty je ludzie zaprzęgli!
Zorza blada, nieśmiała,
krwawszym blaskiem już pała,
jako kwiecie czerwone*) wśród węgli.

Hej, kto żyw! w legowiska!
Bo już słońce rozbłyska
ponad trawą szumiącą i bujną;
przez trzcin młodych łan gęsty
ciągną szmery i chrzęsty,
jakby straż tam sprawował ktoś czujną!
Świt nas razi co dnieje —
a więc, biegnąc przez knieję,
mrużym ślepia, by widzieć zdaleka...
A na niebie złowieszczo
dzikie kaczki gdzieś wrzeszczą:
Dzień już nastał — czas władzy człowieka!

Na ścieżynach już do cna
wyschła rosa ta nocna,
ode której grzbiet cały nam wilgnął,
a tam, kędyśmy pili,
pełno błota w tej chwili, —
i do brzegów muł przywarł i przylgnął.
Ciemność — podła zdrajczyni —
jawnym każdy ślad czyni,
kędy przeszły pazury czy szpony.
Więc słuchajcie wezwania: Czas już spocząć każdemu,
kto przestrzega praw dżungli zielonej!

*) Eufemistyczna nazwa ognia u zwierząt kiplingowskich.

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Ciąg dalszy)

O ile sprawdzić mogłem, lwy-samce, gdy dojdą do lat zupełnej dojrzałości — nie posiadają cielsk o wiele dłuższych od samic, swoich rówieśniczek. Natomiast przewyższają je wzrostem, uderzającą rozbudową ogólną i wymiarami czaszki. Stąd też waga samców jest niejednokrotnie dysproporcjonalnie wielka — w porównaniu do wagi lwic.

Największego — jakiego mi się zdarzyło widzieć lwa-samca posiadał swego czasu sułtan Zanzibaru — Said Bargash. Lew ten był wystawiony na widok publiczny przed pałacem sułtańskim.

Niestety oglądałem go już w najmniej korzystnym momencie. W dniu mego pobytu na wyspie lew leżał w agonji. Zdychał ten potężny syn stepów afrykańskich na oczach, rozbawionych tym stanem jego — czarnych gapiów.

Należał do typu lwów płowych, o bujnej grzywie, tej samej — co reszta ciała — maści.

Co było przyczyną tej lwiej tragedji — nie mogłem się dowiedzieć. Ginął — nie z jakiejś długo trwającej choroby, bo ogromne i dobrze prezentujące się jego cielsko nie wykazywało żadnych śladów wycieńczenia, ani zranienia — chyba tylko z otrucia. Odebrałem też wrażenie, że nie był to lew, wychowany w niewoli, tem mniej w niewoli zrodzony. Prawdziwy okaz lwa dzikiego. Takich rozmiarów i kształtów lwy — spotyka się tylko na wolności.

Okaz ten musiał ważyć około czterysta kg.

— — — — — — — — — — — — — —

Opisane wyżej zajście z lwami zapisało się mocno w mej pamięci. I nie tylko w pamięci — także i na nerwach.

Jeżeli w ciągu lat mej włóczęgi po tym kraju nauczyłem się sypiać w polu bardzo czujnie, to ani zwykły rozgwar murzynów w obozie, ani bliskie szczekanie szakali lub wycie hien — nie budziły mię ze snu. Za to na ryk lwa byłem bardzo czuły. Jakkolwiek zdawałem sobie dobrze sprawę z tego, że ryczący lew jest najmniej niebezpieczny dla człowieka, a nawet wieczorami chętnie słuchałem takiego koncertu, który mi zwiastował obfitość zwierzyny w okolicy, nie mogłem jednak się oprzeć myśli, że gdzieś w pobliżu czai się inny — głodny, a więc milczący drapieżca i może nam zrobić niepożądaną niespodziankę. Niechno odezwał się w oddali głos jego — już rozbudzony siedziałem na posłaniu. Zaraz też podsycałem ognisko, osobno dla mnie przygotowane i budziłem śpiących ludzi, aby swoje przygasłe ogniska rozświecali.

— — — — — — — — — — — — — —

Od czasu tej niezwykłej nocnej wizyty lwów polowałem jeszcze wiele. Spotkania jednak z lwami „na oko" — już nie miałem. Natomiast nocą przypominały

mi się bardzo często. I to nie tylko podczas łowów, ale także w czasie drogi rzeką — gdy się nocowało przygodnie na jakim odludnym brzegu — a czasem nawet na naszej stacyjce w Szamu. Potwierdzało to — często tu w Afryce głoszoną opinję o lwie, że jest to drapieżca, który jest wszędzie i — nigdzie...

Kilka takich momentów, kiedy zamanifestowały one swoje wszędobylstwo — niepożądanie i nieoczekiwanie, przytaczam.

W czasie polowań nad Szirą — wracałem pewnego popołudnia stepem, w towarzystwie kilku czarnych.

W drodze natknąłem na stado bawołów, które mi niejako zagrodziły drogę. Nie miałem zamiaru strzelać do nich, tembardziej, że już zdobyłem potrzebne mi mięso dla kuchni — w postaci kozła wodnego, które dźwigali moi czarni towarzysze.

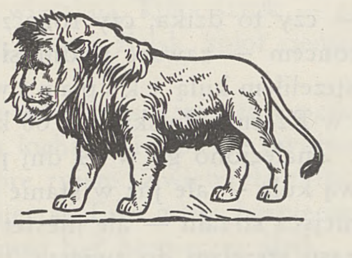
A bawoły, jakby w przeczuciu, że im szkodzić nie będę, ciągle trzymały się w naszem pobliżu — to oddalając się to przystając, często na odległość strzału.

Podpędzając w ten sposób bawoły przez pewien czas, spostrzegłem, że odległość między nami a stadem coraz bardziej się zmniejsza. Niektóre sztuki z tyłu — a było ich kilkadziesiąt — coraz częściej wybiegały na boki, aby przystanąwszy na chwilę — obserwować nasze poruszenia.

W pewnej chwili spostrzegam, że jedna krowa, stanąwszy bokiem — ogromnie nas fiksuje. Step w tem miejscu golusieńki, odległość nieznaczna — skusiły mię do strzału.

Strzał okazał się dobry. Zwierzę trafione odbiegło od kulejącego stada i w najbliższej kępce niedopalonych traw — przystanęło, okazując tylko głowę i kark.

Podsunąwszy się do możliwej granicy, bo mogłem się spodziewać każdej chwili ataku — dobiłem ją szczęśliwym strzałem w szyję. (C. d. n.)



Gwarzenie, jakich wiele

odpowiedź Panu W. G. S. — do ucha!

Na zaszczytny dla mnie apel, bym wyjaśnił niezwykłe pod względem balistycznym spostrzeżenie, opisane w „Łowcu" Nr. 19/32, przez Czcigodnego Pana W. G. S. p. t. „Bajanie jakich wiele" — muszę przedewszystkiem zaprotestować przeciw tytułowi artykułu. Nie jest to żadne „bajanie", lecz bardzo interesujący artykuł z opisem kniei, obfitującej w zwierzynę, wprowadzający nas swym stylem w ten przemiły nastrój, jakiego doznajemy, rozpamiętując wrażenia przeżyte ze sztućcem na plecach właśnie w takiej kniei, a wkońcu artykuł, poruszający ten tak ciekawy a dotąd nie wyjaśniony należycie temat, działania pocisków na zwierzynę.

Daj nam więc Św. Hubercie wzgl. Szanowny Redaktorze więcej takich miłych artykułów! Będziemy je z całą przyjemnością czytać.

Ale do rzeczy!

Mianowicie chodzi o wyjaśnienie faktu, że kula płaszczykowa e k s p a n z y w n a kal. 6,5 mm nie zabija tak dobrze i szybko kozła, jak kula płaszczykowa tego samego kalibru, jednak z o ł o w i a n y m końcem — i wykazuje duże różnice w trajektorji.

Dając wyraz memu, zresztą zupełnie niemiarodajnemu zapatrywaniu — pozwolę sobie najpierw zaznaczyć, że w żadnym innym kalibrze nie ma tyle najrozmaitszych kombinacyj, co właśnie w kalibrze 6,5 mm.

Weźmy np. do ręki cennik fabryki patronów Hirtenberga w Austrji z r. 1929. Widzimy tam na stronie 16 aż 6 gatunków nabojów w tym kalibrze; każdy z nich ma inną długość łuski i inną kulę. Jaki gatunek prochu i jaka spłonka w każdej z tych łusek tkwi — Bóg wie!

Jeżeli weźmiemy tabele balistyczne najbardziej używanych nabojów kulowych niemieckich, wydane przez Reńsko-Westfalskie Akc. Tow. Mat. Wybuch. w Norymberdze (Schusstafel der gebräuchlichsten Büchsenpatronen" herausgegeben von der Rheinisch-Westfälischen Sprengstoff Akt. Gesellsch. Nürnberg) — to znajdziemy na stronie 6, pod l. porz. 4 nabój: 6,5 × 27 P, nabity 0,5 gr. Troisdorferem (Ringscheibenpulver) i pociskiem o wadze 5,3 gr. o długości 18 mm i jego chyżość początkowa Vs = 479 m/sek.

Pod l. porz. 5, nabój: 6,5 × 40 G, nabity 1,1 gr Troisdorferem (Büchsenpulver) pocisk o wadze i wymiarach, jak pod l. porz. 4 — jednak chyżość początkowa V_0 = 610 m/sek.

Pod. l. porz. 6, nabój: 65 × 48 R, nabity 1,5 gr Rottweil Nr. 5 i pociskiem o miedziano-niklowym płaszczu i wadze 7,6 gr a długości 25 mm; chyżość początkowa V_0 = 610 m/sek.

Światowa firma Springer Erben (Wiedeń, Graben 10) wymienia w swoim cenniku również trzy rodzaje nabojów w tym samym kalibrze — jednak różnych od wszystkich zwyż wymienionych.

W dodatku istnieją jeszcze a m e r y k a ń s k i e naboje w tym samym kalibrze, nabite znowu innym prochem i innym pociskiem, każdy o swoistej, od europejskich różnej wadze.

Widzimy więc, że przy tem zatrzęsieniu najrozmaitszych łusek (o różnej długości i formie), najrozmaitszych gatunkach prochu (w każdym gatunku łuski inna dawka) i najrozmaitszych formach i wagach pocisków — jest rzeczą bardzo łatwą, użycie amunicji zupełnie podobnej pod względem zewnętrznym do tej, na którą dany sztuciec jest ostrzelany, a która przecie z powodu innej chyżości początkowej i innej wagi pocisku, daje zupełnie inny tor pocisku.

Co się tyczy wpływu ekspanzy na tor pocisku — to zdania są podzielone.

Niemcy twierdzą, że przy jednakowej d a w c e prochu, jednakowym jego g a t u n k u i jednakowej w a d z e pocisku, jest przy strzale na myśliwskie odległości różnica między torem pocisku e k s p a n z y w n e-

go a pocisku o ołowianym końcu, tak minimalna że leży ona zawsze wewnątrz 100% rozrzutu.

W Austrji zdaje się są balistycy innego nieco zdania, bo np. pociski dla Schönauerów w kal. 6,7 mm wykonane we fabryce Hirtenberga, wykazują różnicę we wadze i długości; i tak waży pocisk z ołowianym końcem 9 gr i ma długość 27,5 mm, podczas gdy pocisk z ekspanzą, waży 10 gr i jest 30 mm długi. Dawka prochu w obu nabojach jednakowa, t. j. 2,3 gr bezdymnego prochu wzór M. 92.

Te różnice wskazują na to, że austrjaccy balistycy, aby uzyskać ten sam tor, uważali za konieczne nadać pociskom z ekspanzą większą długość i większą o 1 gr wagę, czyli większe „obciążenie przekroju" — aby w ten sposób ułatwić mu pokonywanie oporu powietrza.

Co się gatunków bezdymnych prochów kulowych tyczy, to mamy ich obecnie tyle, że istotnie trudno się w nich wyznać, szczególnie, że różnice w zewnętrznym wyglądzie są przy wielu gatunkach minimalne i tylko dla fachowca dostrzegalne.

I tak mamy np. pięć gatunków Rottweila (W 1, 2, 4, 5 i 1923), trzy gatunki Troisdorfera (Nr. 39, 1910 i 1912) a dalej kilka gatunków austrjackich prochów (Rauchloses Pulver Nr. III, Rauchloses Pulver M. 92 i inne), angielski Cordyt, amerykański „High power" i wiele innych.

Cóż więc łatwiejszego, jak mając broń ostrzelaną np. do prochu Rottweil Nr. 5 — nabyć amunicję z prochem M. 92, „High-power" lub jakimś innym prochem, dającym inny tor pocisku.

W tem upatruję przypuszczalną przyczynę, że w opisanym w „Łowcu" wypadku, kule z ekspanzą dołowały.

Chcąc więc uchronić się od tak przykrych zawodów, jakie Szanowny Autor opisuje — nie pozostaje nic innego, jak nabyć z jednej sorty większą ilość np. 50 sztuk i poddać je z danej broni próbie.

Amunicja, odpowiednio przechowywana — nie traci po kilku a nawet kilkunastu latach nic na swej jakości.

W Niemczech, gdzie chyba najwięcej ze wszystkich cywilizowanych krajów Europy strzelają do zwierzyny kulami — jest ogólny zwyczaj próbowania amunicji do tarczy przed rozpoczęciem każdego sezonu myśliwskiego.

Tyle na temat czynników, mających wpływ na tor pocisku kalibru 6,5 mm.

Drugie pytanie, na które mam odpowiedzieć — to pytanie, która kula lepiej zabija, czy z ołowianym końcem czy z ekspanzą?

Tu wszelkie rozważania teoretyczne nie prowadzą do rozwiązania; tu rozstrzygający głos ma praktyka — i dlatego w tej kwestji powinni zabrać głos myśliwi, którzy trochę więcej grubej zwierzyny ubili, niż ja w życiu wogóle widziałem — a takich mamy — Boga chwalić — w naszem M. T. Ł. dosyć!

Ponieważ jednak ci P. T. Towarzysze z pod znaku Św. Huberta cierpią na piórowstręt — więc pozwolę sobie przytoczyć to, czego mnie moja wprawdzie długoletnia, ale skromna w rezultaty praktyka myśliwska nauczyła, zaznaczając zgóry, że nie mam żadnej pretensji do nieomylności — i będąc przekonany, że wszyscy inni myśliwi bez wyjątku lepiej się odemnie na tem znają.

Innemi słowy, chcę troszkę pogwarzyć!

Otóż moja pierwsza broń kulowa z czasów podporucznikowskich, był naturalnie 8,2 mm Mannlicher Wz. 95 z lufą na 55 cm skróconą, koromesło-przeróbka, jakie dzisiaj u gajowych, kłusowników, na posterunkach Policji Państwowej lub Starostwach, można widzieć. Ale nie było wypadku, bym do 100 kroków wronę lub srokę chybił!

Jak długo z tego koromesła do rogaczy i dzików strzelałem kulami z ołowianym końcem (4/5 Mantelgeschoss) — tak długo wszystko w ogniu leżało.

Aż raz jakiś djabeł — zdaje się jakieś szpetne pudło do jakiegoś dzika — skusił mnie do przejścia na kule z pełnym płaszczem i ekspanzą. Od tego czasu zaczęła się mizerja! Rogacze bowiem z doskonałemi komorowemi strzałami szły setki kroków, nie dając ani kropli farby! O jakiejś deformacji kuli w ciele zwierzęcia, mowy nie było! Innemi słowy skutek: jakbym strzelał pełnopłaszczykowemi, wojskowemi pociskami „S".

Speszony i pełen skruchy, wróciłem w szerokokalibrowe objęcia mojej zacnej, niezapomnianej pamięci büchsflinty 16—450 (11,6 mm) (Habermann u. Schmidt-Suhl), która przy 4,5 gr prochu dymnego 8/II i tępej kuli o wadze 22 gramów, kładła przy dobrym strzale wszystko na miejscu, przy gorszym zaś, farbował zwierz tak obficie, że nie trudno było dojść postrzałka nawet na szarej stopie.

Przyszła wojna światowa. Broń zabrali te łotry Moskale — za co ich słusznie Św. Hubert bolszewją pokarał — i dopiero gdzieś w r. 1922 przyszedłem w posiadanie Schönauera 6,7 mm o 60 cm długiej lufie.

Tu powtórzyła się ta sama historja. Ile razy bowiem strzeliłem i trafiłem — (a to główna rzecz, bo często bywa inaczej) — czy to dzika, czy rogacza kulą z ołowianym końcem — zawsze podniosłem zwierza.

Raz jeden strzeliłem kulą ekspanzywną do ślicznego rogacza w Rzęsnej Polskiej na 60 kroków — i rogacz poszedł. Znaleziono go w 14 dni potem z doskonałą komorową kulą — ale już w stanie rozkładu o 200 kroków od miejsca strzału — ale niestety bez rogów.

Od tego czasu strzelam do zwierza, tylko pociskami z ołowianym końcem.

Św. Hubertowi cześć!

Walery Maryański
generał bryg.

JAROSŁAW HUBÁLEK

„SZAREK"

autoryzowany przekład z czeskiego Władysława Karnkowskiego

(Ciąg dalszy)

Lato się chyliło ku końcowi, przekazując stopniowo władzę płodnej jesieni. W dolinach skończone żniwa, ludzie kopią ziemniaki, łamią kukurydzę i obrywają fasolę. W górach zaś trwają w najlepsze sianokosy. — Termin ich bywa tu stale późniejszy z powodu opóź-

nionej wegetacji górskiej. Zresztą Rusin ma zawsze i na wszystko czas i lubi powtarzać za swym moskiewskim bratem: „robota nie wilk — do lasu nie ucieknie".

Pierwszy brzęk kos okrutnie przeraził Szarka. Już chciał zmykać z kotliny, gdy po namyśle pomiarkował, że brzęk kos dochodzi z tegosamego miejsca, nie porusza się, ani go nie otacza — a więc nie musi być niebezpieczny. Pozostał w kotlinie, ale trapiła go ciekawość, co się tam w górze dzieje. Ledwie nastał wieczór i ucichły kosy, puścił się na zwiady, wolno, ostrożnie, jak przystało na zająca. Księżyc już stał wysoko, gdy Szarek zbliżył się do łąki. Co to? Co się tu stało? Znikła bujna trawa, na jej miejscu leżą długie, równe pokosy... Przerażony znów zemknął w las — i tej nocy już na łąkę nie wyszedł, tak mu się to wydało podejrzane. Przebiegł stok, wydrapał się na drugą stronę i o dziwo — znalazł niewielką wprawdzie polankę, ale pełną pięknej zieloności. W powodzi najróżnorodniejszych chwastów, trawy było tu stosunkowo niewiele, łączka więc nie była wcale koszona i spokój tu panował absolutny. Szarek pokicał na brzeg polanki, stanął słupka, chwalebnym obyczajem zajęczym zlustrował okolicę i zabrał się do uczty. Z góry patrzyła nań uśmiechnięta twarz księżyca; widać bawiła ją ta szara plamka w ciemnej zieleni, wciąż ruchliwa, nastawiająca co chwila ku górze czujne słuchy.

Zając z natury jest bardzo ostrożny i zawsze przewidujący niebezpieczeństwo, by się nie dać zaskoczyć niespodzianie. Nasz Szarek był, jak wiemy — młodzik niedoświadczony — winien był zatem od prawa natury otrzymać pouczenie, że ślepo musi sie trzymać zwyczajów swego rodu.

Wszył się w splot zielsk i ucztował spokojnie, gdy naraz lewe słucho dało mu sygnał, że w sąsiednim gąszczu coś się dzieje. Był to szelest słaby, nieuchwytny dla ucha ludzkiego. Lecz Szarek z listkiem w pyszczku, już siedzi słupka i słucha. Szelest staje się wyraźniejszy. — Poznaje: idzie zwierzyna, kilka sztuk — racice. Uskok zawsze możliwy, gąszcz zielsk, splot ciernia i jerzyn — poczeka.

Na kraju lasu odrzyna się wyraźnie ogromna, ciemna plama. To stara locha stoi i bierze uważnie wiatr podniesionym w górę ryjem. Zwietrzyła tylko zająca, lecz jeszcze nie dowierza. Tam gdzie bezpieczny jest zając, nie koniecznie musi być bezpieczny dzik...

Szarek na widok ogromnej maciory i ośmiu warchlaków — przeląkł się okrutnie. Znał już z widzenia czarną zwierzynę i wiedział, że zając nie może nikomu na świecie zbytnio ufać. Wziął nogi za pas i pomknął w las przez ciernie i kolące jerzyny. Całe szczęście, że to tylko dziki, a nie lis lub ryś — nie wiadomo, czyby zdołał ujść przez te fatalne sploty. Cały ten wieczór był pełen przygód. Szarek zwolnił już tempo i kicał miarowo po ścieżce. Znów coś poczuł z boku. Stanął i zaczerpnął wiatru. Nos mu mówił, że gdzieś w środku zbocza jest polanka, może piękniejsza od tej, z której spędziła go locha. Już miał skoczyć w gęstwinę, gdy słuchem zachwycił szelest, coś, jakby otarcie się czegoś o liście. Obrócił się w tę stronę, gdy wtem długi, żółty zwierz wypadł z gąszczy. Zając nie miał już czasu przygotować się do wielkiego skoku, a ponieważ głową zwrócony był w bok, wykonał skok zupełnie nieoczekiwany dla napastnika. I to go ocaliło. Stary lis dopadł na pustą ścieżkę i kłapnął łakomie paszczą w temsamem miejscu, gdzie przed pół sekundą był Szarek. I zaczęła się dzika pogoń przez wszystkie przeszkody. Zając był młody, silny i doświadczony mimo siedmiu miesięcy swego życia, lis jednak był też starym wygą. Szczęściem, karpacki lis ma mało wprawy w braniu zająca, ponieważ jest on tu rzadką zwierzyną — tak, że pożywienie lisa świeże, stanowią niemal wyłącznie myszy i drobne ptactwo. Pomimo wszystko jednak hańbą byłoby dla lisa puścić zająca z przed samego nosa. (C. d. n.)

Lisia impreza w Moszkowie

W poniedziałek 31 października b. r., odbyło się polowanie w 9 strzelb w Moszkowie (pow. Sokal) u hr. Plater-Zyberków, na którem oprócz 3 bażantów i 72 zajęcy, znalazło się na rozkładzie... 22 lisów!

Normalnie polowano w zimie w tym 500 morgowym, przeważnie liściastym, w dość falistym terenie wśród pól położonym lesie i padało 1—6 lisów i 100—140 zajęcy.

Bażanty chowane dziko od 3 lat z 18 sztuk puszczonych do lasu, dały w zeszłym roku także 3 koguty na rozkład — w tym roku widziano podczas polowania 10—15 sztuk, tak, że ma się wrażenie, że pośrednio one właśnie udekorowały nam rozkład w tak rafinowany, a rzadko w kronikach łowiectwa spotykany sposób.



Rozkład przed pałacem

Pozatem ma się wrażenie, że lisy Moszkowskie miały w tym dniu stanowczo pecha i to podwójnego: że właśnie w tym dniu były prawdopodobnie wszystkie na wierzchu i że gęsty pancerz jesiennych traw i liści, niezważonych jeszcze mrozem, zdołał jednak tylko w tak drobnym procencie je uchronić. czy to przed oczami myśliwych ((2 niestrzelane uszły), czy przed ich śrutami (4 chybione).

Dzień był wyjątkowo jasny i ciepły, choć bez słońca, może też przeczuwały lisy 24-godzinną słotę z 1/XI i dlatego wyszły z jam.

Poszczególne mioty dały następujące rozkłady w lisach: 1—7, 2 po 4, 1—3, 1—2, 2 po 1.

Królewski miot z 7 lisami na rozkładzie, tworzył 4-hektarowy (słownie: „cztero"), bardzo gęsty zapust świerczyny z dębiną, w kształcie trójkąta, a pędzony był od krótkiej podstawy tego trójkąta — wzdłuż długich jego boków w róg. — W rogu tym przecinała zapust linijka o szerokości może 2 metrów, jako przejazd dla wozów, a długości tylko 60—70 kroków, tak, że tylko na rogach tej czołowej linji były 2 stanowiska, a reszta myśliwych stała na obydwu flankach, aż pod nagonkę.

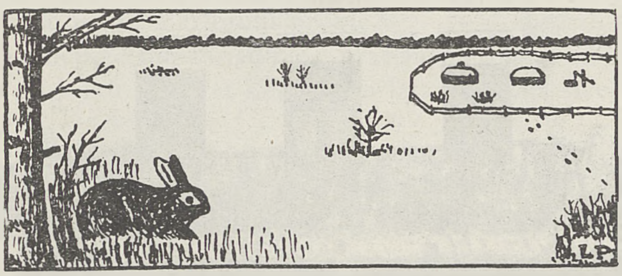
Zachodząc pieszo w milczeniu na stanowiska, widziano 2 lisy wchodzące do miotu, który w rezultacie dał 7 lisów, ósmy uszedł chybiony a dziewiąty niestrzelony. Zapust ten jest tak gęsty, że wszyscy bez wyjątku myśliwi stali dosłownie biorąc, jak przed ścianą. Jedną flankę tworzyła normalna ale wązka linja, drugą zwykła droga, obie z dobrym obstrzałem w plecach.

W następujący sposób obdarzył Św. Hubert lisami uczestników: hr. Tad. Plater-Zyberk i Miecz. Kruszewski: po 5, hr. Jan Plater-Zyberk i Roman Kruszewski po 3, hr. Zenon Brzozowski, Roman Żurowski i Eustachy Świerzawski po 2. — Tylko dr. Tad. Walichiewicz, hr. Andrzej Brzozowski i hr. Andrzej Plater-Zyberk — wyszli z tej lisiej imprezy bez lisów.

Słusznie wznoszono zdrowie gospodarza jako króla polowania, bo trudniejszem jest wychowanie i doprowadzenie pod lufy myśliwych takiej ilości lisów, niż strzelanie ich — a koniecznym warunkiem: łut szczęścia i odrobina łaski Św. Huberta, a tem obdarzył nasz patron szczodrze w tym pamiętnym dniu i myśliwych i gospodarza.

Łubów, w listopadzie 1932.

Mieczysław Kruszewski



KORESPONDENCJE

Maj. Łany Sieleckie, 2 listopada 1932 r.

Dnia 31 X. b. r., polowano w Spasie pow. kamionecki u pp. Kazimierzostwa Bartmańskich, w 12 strzelb. Opolowano 4 mioty polne i 7 leśnych przy bardzo nieodpowiedniej deszczowej aurze. Na rozkładzie 2 lisy, 1 słonka, 1 kuropatwa i 68 zajęcy. — Polowanie zupełnie pierwszorzędnie i wzorowo prowadził syn, inż. Roman Bartmański. Na punkt, przez prowadzącego, zapowiedziane dziki w jednym z miotów przebiły się przez nagonkę. 4 lisy poszły niestrzelane. — Królem polowania Jan Madeyski, mając słonkę i 13 zajęcy ubitych. — Rezultat nieco gorszy niż zeszłego sezonu — jednakowoż raczej należy to przypisać aurze, niż rzeczywistemu pogorszeniu, zwierzyna bowiem ma w Spasie w osobie inż. Romana jak najlepszą, fachową i skuteczną opiekę.

K. G.

Pieniaki, 3 listopada 1932 r.

Dnia 24 X, odbyło się polowanie u p. Stanisława Cieńskiego w Pieniakach, na którem ubito 21 lisów, 75 zajęcy, 14 słonek, 2 gołębiarze. — W polowaniu brali udział Pp.: hr. Roman i Adam Bielscy, hr. St. Krasicki, hr. Baworowski, hr. Pusłowski, hr. Siemieński, p. Stanisławowa Cieńska, Br. Ad. Heydel i p. Ludomir Cieński. — Panią Stanisławową Cieńską, która w czasie polowania ubiła dziewięć zajęcy, pasował na myśliwego p. br. Heydel. — Pp. Myśliwym towarzyszyły Panie: hr. Krasicka, hr. Pusłowska, br. Heydlowa i księżniczka Jabłonowska.

Marjan Wesołowski, nadleśniczy

Perepelniki, pow. Złoczów

Dnia 31 X. b. r., odbyło się w sławnej ze swoich lisów, kozłów i słonek kniei perepelnickiej polowanie na szarej stopie, w 9 strzelb pod wzorowem pod każdym względem kierownictwem pana A. Z. z Nuszcza.

Mimo aury, jak na Zaduszki, bo przy chmurnem niebie i deszczyku od czasu do czasu — knieja dopisała, bo na rozkładzie leżało 7 lisów, 28 zajęcy i 5 słonek.

Niektórzy P. T. Towarzysze z pod znaku Św. Huberta, mając w pamięci, że przed dwoma ponoś laty padło tam jednego dnia 12 lisów — mieli do tego najzacniejszego ze wszystkich Świętych pretensje o rzekomo brakujących jeszcze 5 lisów, ale wszystkie te regresy odrzucił Św. Hubert brevi manu — niczem mój rekurs od podatku luksusowego za broń myśliwską.

Miła pogadanka w przytulnym i gościnnym dworku nuszczańskim, zakończyła ten dla szczęśliwych uczestników tak piękny dzień. — Św. Hubertowi cześć!

W. M. gen.

Lwów, dnia 14 listopada 1932 r.

Tow. Myśliwskie „NEMROD" — polowało:

W dniu 6 XI w Mikłaszowie, przy udziale 20 strzelb; ubito 73 zajęcy, przy ślicznej pogodzie. — Stan zajęcy dobry.

W dniu 11 XI w Porsznie, przy udziale 17 strzelb; dzień ponury; ubito 17 zajęcy, których stan jest zły.

W dniu 13 XI w Winniczkach, przy ślicznej pogodzie, w 12 strzelb, ubito 35 zajęcy. Stan zajęcy zadowalający.

Jan Zecha, łowczy

Silnica, 14 listopada 1932 r.

Dnia 12 listopada b. r., odbyło się w brzydki deszczowy dzień polowanie w Sekursku, maj. p. Jana Biedrzyckiego, w powiecie Radomsko. Rekordowy rezultat wynosił: 346 zajęcy, 1071 królików, 255 bażantów, 51 kuropatw, 3 słonki, 1 jastrząb; razem sztuk 1717. W polowaniu brali udział: Henryk hr. Potocki, hr. Bonda, hr. Andrzej Morstin, p. Stefan Siemieński, hr. Paweł Potocki, p. Stefan Steihagen, hr. Stanisław Potocki, p. Konrad Niemojewski, hr. Władysław Potocki, p. Jacek Siemieński, p. Hieronim Siemieński. — Królem polowania był Paweł hr. Potocki, mając 286 sztuk na rozkładzie.

H. S.

Złoczów, 14 listopada 1932 r.

Polskie Tow. Łowieckie w Złoczowie polowało:

Dnia 21 X. 1932, Kniaże (pola), 13 strzelb: 55 zajęcy, 1 kuropatwa.

Dnia 28 X. 1932, Stadnia — Różowola, (pola). 12 strzelb, 36 zjęcy. Stan słabszy.

Dnia 5 XI. 1932, Sassów (pola). 6 strzelb, 26 zajęcy, 1 lis. — Stan bardzo dobry.

Dnia 12 XI. 1932, Olszanica (pola). 14 strzelb — 96 zajęcy. — Stan bardzo dobry.

Nadto chciałbym podać do wiadomości opis bardzo ciekawego spotkania z lisem. Dnia 31 X. 1932, polowaliśmy w pięć strzelb w Strutynie (rewir p. Romana Hupałowskiego). Jeszcze przed ruszeniem nagonki, usłyszałem w miocie poza sobą, bardzo silny

łomot. W pierwszej chwili myślałem, że ruszyły dziki, tem bardziej, że według relacji straży miały się plątać po lesie. — Zelektryzowany łomotem, odwróciłem się w stronę, z której dochodził. Nagle z gęstwiny wyskoczył na linję zając, a tuż za nim ogromny lis, może w oddaleniu kilku cm. Przerażony zając wpadł mi pod nogi. Lis momentalnie skręcił w zarośla. Suchy strzał i rabuś zapłacił pięknem futerkiem. Zając ocalał. Widocznie lis napadł śpiącego w krzakach zająca, lecz polowanie mu się nie udało. Poluję już dawno, ale z czemś podobnem spotkałem się pierwszy raz w życiu. Emocja była ogromna, wrażenie pozostanie na całe życie.

Nadto padło 18 zajęcy. Stan sarn, dzięki należytej opiece, zupełnie zadawalający.

Cześć św. Hubertowi!

Kazimierz Leszczyński



†

Stefan Hr. Bobrowski

właściciel dóbr, burmistrz i obywatel honorowy gminy m. Andrychów, b. marszałek powiatu wadowickiego, kawaler krzyża oficerskiego Polonia Restituta etc., zmarł dnia 12 listopada 1932 r., przeżywszy lat 59.

Zmarły był wieloletnim członkiem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, ostatnio przydzielony do Oddziału Tow. w Krakowie, i piastował od długiego szeregu lat mandat delegata M. T. Ł. i P. Z. St. Ł.

Oddany szczerze sprawom łowiectwa i dbały zawsze w fachowem spełnianiu funkcyj delegackich, pozostawia po Sobie serdeczny żal w Towarzystwie i najlepszą pamięć wśród Braci myśliwskiej.

Pokój Jego zacnej duszy — cześć świetlanej pamięci!

†

Inż. Kazimierz Drapella

Inspektor Lasów państwowych w Cieszynie, Prezes Śląskiego Związku Leśników, członek M. T. Ł. i były członek jego Wydziału, zamiłowany myśliwy-hodowca, zmarł dnia 17 listopada 1932 w Cieszynie.

Cześć pamięci zacnego towarzysza i obywatela!



Conseil International de la Chasse

Ze sekretarjatu tego wszechświatowego Związku otrzymaliśmy nader uprzejme pismo z prośbą o umieszczenie następującego komunikatu:

Delegaci myśliwych francuskich powrócili właśnie do kraju, rozentuzjazmowani serdecznem przyjęciem, jakiego doznali ze strony Rządu i myśliwych Italji, dokąd się udali na zaproszenie Rządu włoskiego, za pośrednictwem Międzynarodowego Związku Łowieckiego.

Bezzwłocznie po przybyciu wycieczki na miejsce, przyjęci zostali na audjencji u Króla Włoch Prezydent Związku Pan Ducrocq i tegoż Związku generalny sekretarz hrabia d'Adix, tudzież Panowie Dulignier i Pousard, jako reprezentanci Ministerstwa spraw zewnętrznych i Ministerstwa rolnictwa. Wręczyli oni Królowej piękną wazę z porcelany serwskiej, jako dar Rządu francuskiego, ofiarowany z okazji tej wycieczki myśliwych francuskich do Włoch.

Także Ojciec św. przyjął delegatów francuskich na audjencji.

Odbyły się liczne recepcje i bankiety, a w szczególności u Ministra rolnictwa, u ambasadora francuskiego we Włoszech, w Watykanie, u księcia Boncompagni, u gubernatora Rzymu, w Związku narodowym myśliwych i t. d.

Specjalny medal został wybity na pamiątkę wizyty myśliwych francuskich we Włoszech; uczestnicy wycieczki otrzymali tytuł „myśliwych Italji".

Dla uczczenia myśliwych francuskich zostały urządzone wspaniałe polowania u senatora markiza Guglielmi, u księcia Borghese, u markiza Patrizi, u Pana Antonelli i w rezerwatach Związku byłych kombatantów.

Ogólny rozkład tych polowań, dał 19 wspaniałych jeleni, 21 danieli, 14 dzików, 460 bażantów i bekasów 2900 kaczek i łysek i 2 lisy.

Myśliwi francuscy, którzy w czasie swego pobytu we Włoszech, byli wprost zasypani objawami żywej serdeczności przez myśliwych włoskich, powrócili z tej podróży głęboko wdzięczni swym przyjaciołom włoskim. Zachowają oni w pamięci niedające się zatrzeć wrażenia z pobytu we Włoszech.

tłum. *A. S.*



Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł., w dniu 21 listopada 1932 r.

Obecni: Prezes hr. J. Bielski, Wiceprezesi: W. hr. Gołuchowski, A. Mniszek, A. Sander; członkowie Wydziału: M. Chrzanowski, W. Garapich, St. Madeyski, Fr. Piechowski, St. Pieńczykowski, Dr. J. Rosienkiewicz, A. Ulm, dr. W. Ziembicki, dr. St. Gajewski, R. hr. Bielski, pułk. C. Perini. — Nieobecność usprawiedliwili: St. Jaśkiewicz i H. Prek.

M. Chrzanowski składa wyczerpujące sprawozdanie o bytności na posiedzeniu Zarządu Pol. Zw. St. Łow., na którem nadano między innemi odznaczenia następującym członkom M. T. Ł.: Honorowy żeton zasługi „Złom" Tadeuszowi Czarkowskiemu-Golejewskiemu, Antoniemu bar. Götz-Okocimskiemu, Sewerynowi Krogulskiemu, Albertowi Mniszkowi, dr. Alfredowi Sanderowi, Adamowi hr. Starzeńskiemu, Zdzisławowi hr. Tarnowskiemu i dr. Witołdowi Ziembickiemu. Złoty medal za zasługi na polu łowiectwa: Włodzimierzowi Barańskiemu, Dyrekcji lasów i dóbr bar. Groedlów w Sko-

lem, Władysławowi Gürtlerowi, Tadeuszowi Horoszkiewiczowi, Dr. Adamowi Lardemerowi, Miejskiemu Towarzystwu Łowieckiemu we Lwowie, Antoniemu Pisulińskiemu, Towarzystwu Myśliwych w Bełzie, Kazimierzowi Wysockiemu i Janowi Zlamalowi. — Srebrny medal za zasługi na polu łowiectwa: Franciszkowi Kalkusowi, Józefowi Sikorze i Władysławowi Wesołowskiemu.

Dalej przedstawił M. Chrzanowski m. in., że Związek przedłożył Ministerstwu zupełnie nowy projekt nowelizacji prawa łowieckiego, który wprowadza obowiązek należenia do Związku wszystkich osób pragnących otrzymać kartę łowiecką i że wiceprezes Związku generał Fabrycy przygotował już szkic przyszłej organizacji myślistwa, wynikającej z zaprojektowanej noweli prawa łowieckiego. Szkic ten, jako dający jedynie zarysy przyszłej organizacji, ma być opracowany jeszcze przez komisję w osobach Maurycego hr. Potockiego i pp. Kamockiego i Tallen Wilczewskiego. Delegaci nasi otrzymali zapewnienie prezesa Pol. Zw. St. Łow. gen. Sosnkowskiego, że wygotowany elaborat komisji otrzyma M. T. Ł. celem zaznaczenia swego stanowiska.

Powyższe sprawozdanie uzupełnił W. hr. Gołuchowski, który jako członek Zarządu Głównego był także obecny na posiedzeniu w Warszawie, wielu trafnemi i aktualnemi spostrzeżeniami. — Nad temi ważnemi sprawozdaniami toczyła się ożywiona dyskusja, w której zabierali głos: Prezes hr. Bielski, wiceprezes A. Sander i W. Garapich, przyczem poszczególni mowcy wyrażali żal, że w projekcie nowelizacji pominięto wiele postulatów uchwalonych w jesieni r. 1931, na dwóch posiedzeniach komisji nowelizacyjnej przy Polskim Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie, odbytych przy udziale reprezentantów łowiectwa z całej Polski, a natomiast wysunięto na czoło postulat zesyndykalizowania myśliwych całej Polski w taki sposób, że Towarzystwa ideowe, na których według pierwotnego założenia, Związek miał się opierać, zostałyby postawione siłą faktu, po za zamierzoną organizacją.

Odnośnie do nowego kodeksu karnego nawiązało Towarzystwo kontakt z wybitnymi sędziami myśliwymi, jakoteż z jednym z kodyfikatorów prawa karnego prof. dr. Makarewiczem, a wyniki tych zabiegów będą w najbliższych numerach „Łowca" opublikowane.

Do Komisji dla strzelań o mistrzostwo m. Lwowa, dnia 27-go listopada 1932, wybrano A. Sandera, St. Madeyskiego, dr. Obmińskiego, pułk. Periniego, M. Słońskiego i A. Ulma.

Przyjęto do wiadomości nominację przez Oddział krakowski inż. Marcelego Marchlewskiego na delegata M. T. Ł. dla powiatu N. Targ i w poczet członków przyjęto dr. Edwarda Skowrońskiego, em. konsula R. P. we Lwowie.

* * *

Przypominamy po raz ostatni naszym P. T. Członkom konieczność wyrównania zaległości, gdyż w wykonaniu uchwały Wydziału z dnia 31 października 1932 r., od następnego numeru będziemy ogłaszać nazwiska restantów, którzy swych zobowiązań niewypełniają, mimo, że nie znajdują się w krytycznych stosunkach finansowych.



Sprawozdanie
Tow. Myśliwskiego „CZERNICHÓW" (pod Krakowem) z czynności za rok ubiegły 1931 r.

Towarzystwo składało się z 12 członków. — Czynsze dzierżawne za rok 1931/32 wynosiły 5.673 zł. Opłata straży leśnej i polowej 1.663 zł. Tępienie szkodników 2.067 zł., a premje dla straży polowej za złapanie kłusowników i oddanie ich władzom sądowym wraz z kosztami sądowemi 1.394 zł., co jednak nie zmniejszyło ilości kłusowników, bo o ile rok 1928 dał tylko 5 kłusowników, to już 1929 wykazuje ich 12, w r. 1930 już 30, a ostatni rok 1931 nawet 44 i to nieraz kilkakrotnie karanych.

Niestety dotąd wszelkie kroki z naszej strony pozostały bez skutku.

Polowań gremjalnych było 8 i na nich zabito: 337 zajęcy, 24 bażantów, 1 rogacza i 2 lisy. W pojedynkę zaś zabito 396 kuropatw, 18 bażantów, 2 słonki, 2 przepiórki, 12 kaczek, 27 krzyków i 1 cietrzewia.

Straż łowiecka zabiła 230 psów, 262 kotów, 230 srok, 189 wron, 134 jastrzębi i 31 łasic.

Dr. J. S.

Ochrona i hodowla żubra

W „Łowcu Polskim" z 15 października 1932, Nr. 42, czytamy w artykule pod podanym nagłówkiem, że w dniu 8 i 9 października b. r., odbyło się w Berlinie zebranie Międzyn. Tow. Ochrony Żubra. — Reprezentacje nadesłały: Anglja, Austrja, Dania, Holandja, Niemcy, Polska, Szwecja, Szwajcarja i Węgry. — Polskę reprezentowali pp. Wł. Janta-Połczyński, konsulent hon. Min. Rolnictwa i dr. Żabiński, Dyr. Ogrodu Zool. w Warszawie.

Aż do zeszłego roku, Towarzystwo ograniczało się jedynie do teoretycznej i ideowej propagandy przez wydawanie broszur biograficznych i biologicznych, urządzanie odczytów połączonych z filmami i wreszcie założyło księgę rodowodową, dotąd istniejących ostoi żubra.

Dopiero zainteresowanie się amerykańskiego Tow. Zoologial-Society w New-Yorku i wyznaczenie przez nie 15.000 dolarów na podtrzymanie hodowli żubra w Europie, pozwoliło Tow. rozwinąć realną działalność. Z tego funduszu postanowiono zakupić nowego stadnika dla Białowieży a następnie założyć nowy zwierzyniec hodowlany w południowych górskich okolicach Niemiec, gdyż doświadczenia wykazały potrzebę umieszczenia żubrów w kilku osiedlach dla uchronienia ich przed motylicą.

W sprawozdaniu o wynikach hodowli reprezentant Polski obszernie zareferował o nowym rozszerzonym w Białowieży zwierzyńcu i poczynionych w nim ulepszeniach.

Po ustąpieniu p. hr. Arnima, wybrano zastępcą Prezydenta reprezentanta Polski p. Władysława Jantę-Połczyńskiego, co Walne Zebranie przyjęło z ogólnym aplauzem.

Zwiedzanie ogrodu Zool. w Berlinie i wzorowej hodowli żubrów hr. Arnima w Boizenburgu, zakończyło to ważne dla przyszłości żubra międzynarodowe zebranie.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32